



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

St. Kramsztyk.

OGIEŃ ZE SŁOŃCA.

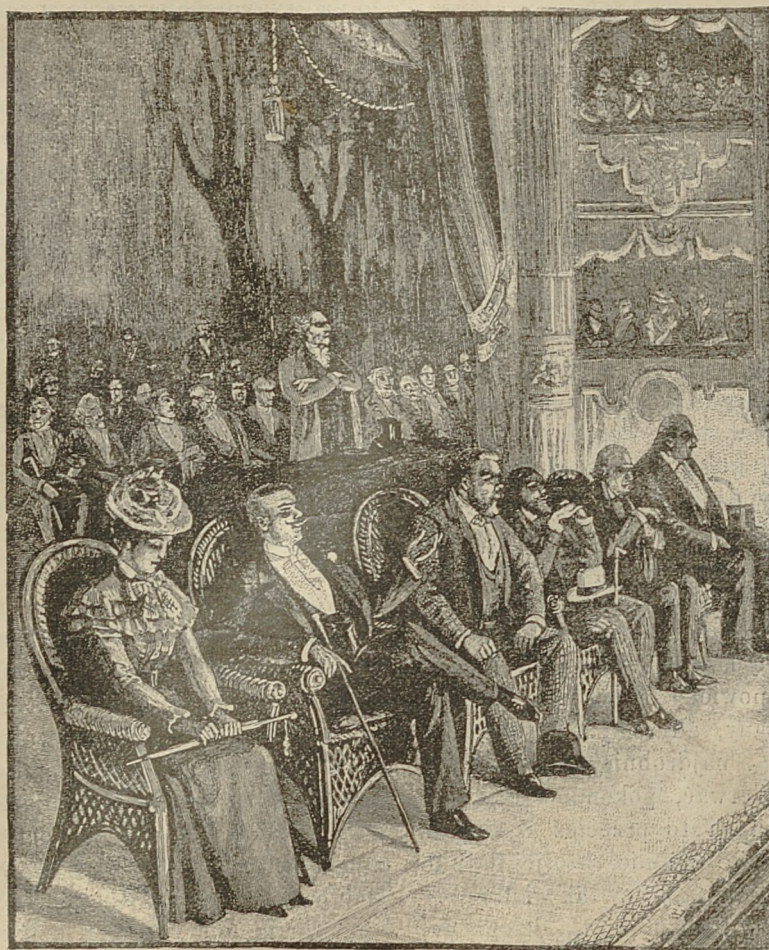
Gdy dawni przodkowie nasi palili drzewa swych lasów, wierzyli, że zwracają słońcu ogień, który od niego otrzymali.

Był czas, gdy człowiek pierwotny nie umiał jeszcze ognia krzesać, gdy nie znał go wcale. Trudno dziś wyobrazić sobie, jak nędzny wiódł żywot. Nagi, narażony był na chłody nocy i zimy; zgłodniały, żywił się jedynie korzonkami roślin dzikich i ich owocami cierpkimi; bezbronny, stawał się pastwą zwierząt drapieżnych, od niego silniejszych i bardziej rączych.

Piorun, może inny przypadek, wzniecił pożar lasu. W obec tak nowego a groźnego zjawiska, człowiek uciekł strwożony. Ogień taki wybuchał nieraz, człowiek zwolna z nim się oswoił, poznał, że niszczący ten żywioł może stać się i dobroczynnym, odważył się ująć głównię rozpaloną, przeniósł ją do swych siedlisk, umieścił obok swych jaskiń i lepianek, w których przebywał. Rozpalać ognia zapewne długo jeszcze nie umiał, strzegł więc ogniska i baczył pilnie, by nie wygasło.

Skoro panem ognia stał się człowiek, wzmógł swą potęgę i warunki bytu swego poprawił. Mógł się rozgrzać i strawę zgotować; zapory ognistej zwierz dziki przekroczyć nie zdołał, za tą osłoną płomienną człowiek czuł się już bezpiecznym od napaści tygrysa lub wilka. Potem nauczył się w ogniu wypalać naczynia gliniane, a z rud z ziemi dobywanych, nauczył się metale wytapiać. Wtedy uzbroił się w oręż żelazny, pokonał zwierzęta dzikie, oswoił je, uczynił z nich sprzymierzeńców swoich, pomocników w swych pracach, życie stało się dogodniejsze i spokojniejsze, zwolna rozwijała się cywilizacja.

Do pow. Testament Dalwaka.



Odczytanie testamentu „Sześciu” siedziało w jednym szeregu...

Ogień dobroczynny wydawał mu się pochodzenia boskiego. Według mitologii greckiej pierwsze żarzewie ognia pochwyił bogom z Olimpu Prometeusz i na ziemię sprowadził, a za podstępą tę kradzież przez mściwego Jowisza przykuty został do skał Kaukazu, gdzie sęp olbrzymi bezustannie serce mu szarpie.

Łatwo rzeczywiście wzbudzić się mogła wiara, że ogień z nieba pochodzi. Codziennie przecież po sklepieniu niebieskiem przesuwa się od wschodu ku zachodowi ognista bryła słoneczna, darząca nas światłem i ciepłem; ogień ziemski wydał się człowiekowi odblaskiem tej promienistej gwiazdy dziennej, iskrą od niej oderwaną, jakby ze słoń-

ca był zrodzony. — Naiwnem i dziwnem jest dla nas dziś takie pojęcie ludów pierwotnych. Jakżeż może płomień na ziemi wzniecony pochodzić od słońca, które przecież nieści się w olbrzymiej od nas odległości dwudziestu milionów mil geograficznych, w jakiz sposób mogłaby przestrzeń tę przebiec iskra przez słońce odrzucona?

Nauka jednak dzisiejsza nie potępia tej baśni ludowej, przyznaje, że kryje się w niej jądro rzetelne, a owe narody dawne miały jakby przeczucie prawdy, gdy ogień ze słońca wyprowadzały, choć sobie z tego sprawy nie zdawały jeszcze. Czego wówczas nie pojmowano, umiemy teraz jasno wytłomaczyć.

Odłamek drewna, który w piecu naszym płonie, jest szczątkiem drzewa, które niegdyś żyło i które wyrosło z drobnego nasienia. W nasieniu tem, jak to widzimy w ziarnku grochu lub żyta, mieścił się drobny zasób pokarmu na pierwsze potrzeby młodej, kiełkującej rośliny, gdy jeszcze samodzielnie utrzymywać swego bytu nie mogła. Skoro jednak kiełek swój wynurzyła nad powierzchnię ziemi i na świat wyjrzała, zabrakło już zasobów odżywczych w nasieniu, sama zdobywać sobie musiała pokarm, czerpać go z łona ziemi i otaczającego powietrza.

Drzewo z różnych składa się materiałów, ale nie trzeba być nawet chemikiem, by poznać, że przedewszystkiem zbudowane jest z węgla. Gdy drzewo się wyżarzy, gdy spłonie niezupełnie, to zostaje po niem bryła węgla; węgiel ten zawierać się musiał przeto w drzewie, choć w połączeniu z innemi jego pierwiastkami ukrywał czarną swą barwę i inne swe właściwości, a ukazał się dopiero, gdy ze związków tych się oswobodził.

Główną więc częścią składową drzewa i każdej w ogólności rośliny, choć tak pięknie i rozmaicie zabarwionej, jest węgiel. Skądżeż zdobywało go drzewo za życia, skąd brało ten materiał, tak do budowy jego tkanek niezbędny?

Znaleźć go mogło w powietrzu jedynie. Powietrze nie jest wprawdzie obładowane sadzą, czarnym pyłem węglowym, ale unosi się w niem kwas węglany, jako ciało lotne, jako gaz przez nas nie dostrzegany, nie wyróżnia się bowiem zgoła od reszty powietrza, od innych, składających je gazów. Jestto ten sam gaz, który z szumem wrywa się z wody sodowej, z wina szampańskiego, z kredy polanej octem lub innym kwasem. Nazywamy go kwasem węglanym, bo rzeczywiście zawiera w sobie węgiel, jest związkiem węgla z tlenem, z gazem, który obficie znajduje się w powietrzu. Kwas węglany w drobnej tylko ilości występuje w atmosferze, gdyby go bowiem było więcej, nie mogliby żyć ludzie, ani zwierzęta, gdyż jest on dla nich zabójczym. Wystarcza on jednak dla roślin, które go w atmosferze wyszukać umieją, i z niego to zdobywają węgiel, by go sobie przyswajając i na swą korzyść obracać. Węgiel ten wszakże w powietrzu, jak powiedzieliśmy, nie jest bynajmniej swobodny, jest związany, złączony z tlenem; aby go osiąść, musi roślina każdą, najdrobniejszą cząsteczkę kwasu węglanego rozdzielić, rozerwać, pokonać musi ścisły związek węgla z tlenem. Wynaga to przecież wysilenia, pracy; któż więc moc taką daje roślinie, kto jej daje tę dzielność, tę energię do wykonywania pracy tak wielkiej?

Roślina żyć może tylko w blasku światła dziennego. Gdy jej blasku tego poskapimy, gdy ją umieścimy w ciemnicy, dokąd promienie słoneczne przedrzeć się nie mogą, ro-

ślina wędnie, liście jej żółkną, tkanki jej stają się wiotkie i słabe, a cała roślina rychło obumiera. Promienie słońca niezbędne są do życia rośliny; w cieple tylko słonecznem rozwija się i wzrasta, ono to daje jej zdolność do pracy, ono to raczej pracuje w roślinie i z kwasu węglanego wrywa węgiel, z którego roślina tworzy włókna swe i komórki, rozwija się i wzrasta.

Gdy tu mówimy, że ciepło pracuje, nie wyda się to zapewne dziwactwem temu, kto jeździł koleją, lub fabrykę jakąkolwiek zwiedzał. Będziecie twierdzili, że to para wozy żelazne ciągnie i olbrzymie koła obraca, ale przecież, by parę otrzymać, potrzeba ognia, ciepła. Maszyny parowe pracują kosztem ciepła, albo raczej ciepło wykonywa prace, do jakich je człowiek zmagla.

W roślinach podobnie pracuje ciepło słoneczne. Roślina żywi się i byt swój utrzymuje kosztem ciepła słonecznego, rozwija się i wzrasta nakładem promieni słońca, jego energii promienistej. Ta praca słońca nie niszczy się wszakże, nie zużywa bezpowrotnie, ale pozostaje jakby utajona, przechowana i zaoszczędzona w drzewie, w tkankach rośliny. Odradza się znowu jako ciepło, gdy drzewo palimy.

Palenie drzewa jestto bowiem działanie wręcz przeciwnie temu, co miało miejsce, gdy drzewo to wzrastało. Wtedy kwas węglany rozrywał się na składowe swe części, na tlen i węgiel; teraz zaś, gdy drzewo płonie, węgiel jego łączy się z tlenem i powstaje znowu kwas węglany, który z dymem uchodzi w powietrze i nowym pokoleniom roślin pożywienie dawać będzie. Ile się ciepła słonecznego zużyło na wytworzenie węgla w roślinie, tyleż teraz wzbudza się ciepła, gdy węgiel ten płonie, gdy łączy się z tlenem powietrza; przy tem przeobrażeniu więc ciepło słoneczne nie zginęło bynajmniej, odradza się w zupełności, odnajdujemy je w naszych ogniskach. Ciepło, które nas w zimie ogrzewa, zawdzięczamy więc słońcu; ogień na kominku naszym płonący, rzeczywiście ze słońca się zrodził. Legenda ludów pierwotnych rzeczywistością się staje.

Gdy, zamiast drzewa, piece nasze węglem kamiennym opalamy, i w tym jeszcze raz z ciepła słonecznego korzystamy. Węgiel kamienny bowiem, w łonie ziemi złożony, powstał ze szczątków drzew, które niegdyś żyły na ziemi, w czasach nader dawnych, gdy jeszcze człowieka na ziemi nie było, gdy nie żyły nawet jeszcze zwierzęta ssące i ptaki, zaledwie gady snuły się na lądzie, a w morzach ryby, od dzisiejszych różne, pływały. Drzewa także były odmienne, paprocie i skrzypy drzewiaste, drzewa iglaste, jakie dziś już nie istnieją. Drzewa te żyły, rosły i zamierały, liście ich, gałęzie i łodygi butwiały zwolna, tworzyły torfowiska, jak to i teraz jeszcze dzieje się na gruntach bagnistych. Ciągnęło się to przez długie okresy czasu, nieraz morze zalewało odwieczne te lasy, gdy grunt się obniżał, a gdy ląd znów się wznosił, morze ustępowało, ale lasy i torfowiska, które dawniej powierzchnię ziemi zalegały, znajdowały się już pod przytłaczającemi ją osadami, które z wód morskich opadały. Pod tym naciskiem torfowiska ulegały dalszym zmianom, torf przeobrażał się zwolna w węgiel brunatny, a ten w dalszym ciągu, po długich wiekach, zamieniał się w bryły węgla kamiennego. Gdy dziś czarne te bryły z głębi ziemi dobywamy i w piecach naszych palimy, odzyskujemy ciepło, które słońce nadsyłało ziemi w epoce niesłychanie dawnej

przed setkami tysięcy lat zapewne. Odradza się ciepło, które przez tak długi ciąg wieków w utajeniu pozostawało.

Wszelki więc ogień, jaki na ziemi rozpalic umiemy, ze słońca swój początek bierze.

Człowiek pierwotny przeczuwał, czego jeszcze nie pojmował dokładnie.

Jak w tej, tak w wielu innych baśniach ludowych mieści się często ukryte jądro prawdy, które nauka stara się odsłonić i wyjaśnić.

— — — — —
Zofia Urbanowska.

RÓŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej.

(Dalszy ciąg).

— Zgoda, zgoda — zawołano chórem, a panna Katarzyna z wdzięcznością uściśnęła rękę Jakóba.

— Troszczyłam się o moje dzieci, mówiłam sobie: co za bieda, że nie mają z kim chodzić! A tu Opatrzność nam ciebie zesłała. Jakiż Kubuś dobry!

— A ja będę oglądała jeziora, wodospady i przepaście! — wołała dziewczynka, skacząc z radości. — Będę widziała jaskinie, w których kryli się rozbójnicy! A może my i skarby zbójcekie znajdziemy?

— Jest! i tej się już skarbów zachciewa — powiedziała, śmiejąc się babunia Kasia.

Ganek, przy którym rozmawiający siedzieli, obsadzony był chmielem; w ogródku rosły cztery jesiony i dwie małe limby, a pod płotem był zagonek kartofli. Gaździna przyszła je okopać, a zobaczywszy swych gości na ganku, skinęła im głową uprzejmie, mówiąc:

— Dzień dobry: fała Panu Jezusowi, Matce Boskiej co nom dali piknom pogodę. Jakoz wom się tu u nas spodobało?

— O, bardzo nam się podoba! — odpowiedziała Marysia.

— Fała Panu Jezusowi. Spało wom się dobrze?

Tu panna Katarzyna nie mogła wytrzymać i opowiedziała nocne przygody z łóżkiem.

Gaździna, kobieta już niemłoda, ale zdrowa, rumiana, z twarzą okrągłą i bystrym wyrazem niewielkich siwych oczu, słuchała uważnie; a gdy babunia Kasia skończyła, uśmiechnęła się sprytnie mrugnawszy okiem i rzekła:

— Dobrzeście zrobili: fała Panu Jezusowi!

I wzięwszy motykę pochyliła się nad zagonem kartofli.

Cała dolina kąpała się w słońcu. Pełno osób wyległo na spacer, bo jak po piasku morskim suchą chodzi się nogą tam gdzie przed chwilą lizwały go fale, tak w Zakopanem, po największej ulewie iść można na spacer bez kaloszy, zwłaszcza pod górę, bo woda przepada gdzieś między kamieniami i zwirem.

V.

Portret bez rysów.

Panna Katarzyna zrazu wymawiała się od wycieczek w góry, utrzymując, że wystarczy jej patrzeć na nie z Zakopanego. Ale od czasu gdy pan Jakób zaprowadził całą rodzinę na Gubałówkę, wygodną, łatwą drożyną, gdzie sta-

ruszka mogła co chwila odpoczywać na trawie w cieniu drzew — i ztamtąd pokazał jej całe Tatry w chwili, gdy zachód słońca malował je na różowo, tak została oczarowana tym widokiem, że sama zapragnęła obejrzeć Kościeliską dolinę, o której słyszała, że jest perłą Tatr najpiękniejszą, i że do niej wózkem wygodnie dojechać można.

Wyruszone więc o dziesiątej rano przy pięknej pogodzie. Gdy minęli stary drewniany kościółek, przysadzistą staroświecką dzwonnice i wjechali w ulicę Kościeliską, Marysia, widująca dotąd tylko chaty pojedynczo rozrzucone, wydziwić się nie mogła wielkiej ich tutaj ilości; kształty ich oryginalne uderzały ją więcej teraz, gdy je widziała nagromadzone jedne przy drugich.

— Babuniu, to jak miasto! — wołała — a jakie śmieszne te domki! Dachy jakby śpiczaste kapelusze obszyte sztywnymi, szeroko rozpiętymi falbankami.

— A to, wicie, na to, coby wom na nos nie padało, kie wydziecie z ganecka pozierać ¹⁾ — wtrącił Jasiek wżnica.

Skończyło się Zakopane: droga wieszła się na stokach tak stromych, że panna Katarzyna aż zasłaniała oczy, lub załamując ręce, wołała:

— Kubusiu, toś nas wywiódł nad przepaście! A biedne dzieci! Matko Ostrobramska, ratuj! Ostatnia godzina? Kubusiu, trzymaj Marysię!..



Wózek góralski.

— Nie bójcie się — mówił Jasiek — ja amujem. ²⁾

I w jednej chwili zniknął jak kamfora, co zwiększyło jeszcze niepokój panny Katarzyny, lecz wnet ukazała się znowu figlarna twarz Jaska.

— Jescek śmierci nie widział — żartował niecnota — nie idzie po was, to se i nie bójcie. Wie dali! ³⁾ Wiśt, ⁴⁾ wiśta siwy! Pokasze pani, jako ją grzeenie powieziesz.

I rażno odskakując od licznych kamieni, wesoło potoczył się wózek na samo dno mniemanej przepaści.

— To wjazd do Małej Łąki — objaśnił Jakób — już nie będzie równie stromej góry.

— Czy pojedziemy przez Małą Łąkę? — spytała Marysia.

— O, nie, ona zostaje na lewo: innym razem ją zobaczymy, jeżeli babunia jeszcze zechce.

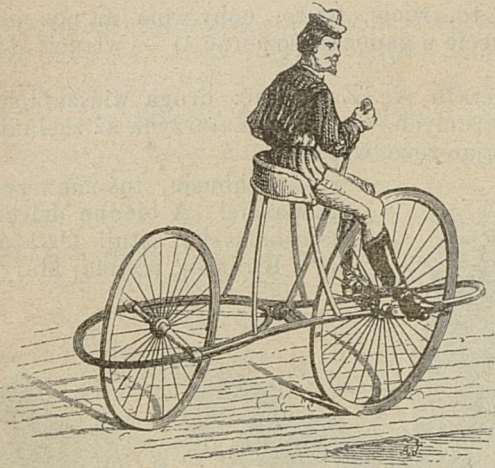
Panna Katarzyna wkrótce się udobruchała. Tymczasem wjechano na prześliczną drogę pod Reglami, mając po jednej stronie faliste łąki gęsto przetykane kwieciami i lasy świerkowe, przy których od czasu do czasu stały na straży rozłożyste jesiony i buki posiwałe, a po drugiej rozległe na stokach wyębiska, młodą i jasną zdaleka błyszczące zielonią. Wyrastało tam bujne młode pokolenie, w miejsce tego które padło pod toporem, a pomiędzy niem czernice, poziomki, maliny, wonne trawy i turzyce, Storzycy, Mleczaje, Chabry górskie i moc różnobarwnego kwiecica. W próchniejących pniach żyły liczne gatunki paproci — a tu i owdzie, przypinane do gruntu długimi, pierzasto wycinanymi liśćmi,

¹⁾ Spoglądać. ²⁾ Hamuję. ³⁾ Wio dalej. ⁴⁾ Na lewo.

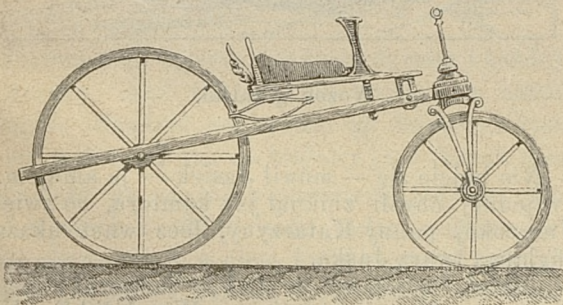
błyszczały jak gwiazdy, złociste, różowe i białe, Kąsiny niskie. Kwiat ten dziwny, otulony w srebrzystą okrywę, rozstrzępioną nakształt licznych słomianych ździebełek, uchodził niegdyś za cudowne lekarstwo: ztąd lud dawał mu nazwę: „Dziewięć sił.”

Pomiędzy kamieniami jaśniały białe Dziewięciorniki, złote Jastruny, Wieczerniki damskie o kwiatach jaskrawych, i wonne fiołkowe Miesiącznice — a nad tem wszystkim panowała wszechwładnie Wierzbówka wązkolistna. Różowe jej bukiety na wysokich łądkach tak się tam bujnie rozrastają, że zagłuszają wszystkie inne rośliny. Całe stoki bywają od niej różowe, jakby się w brzasku jutrzeńki kąpały.

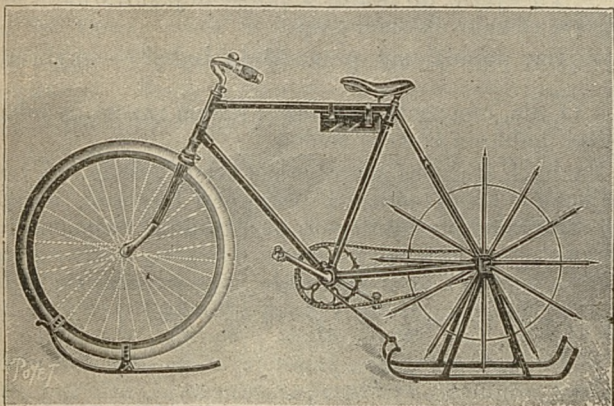
Do hist. środków komunikacji z N-ru. 9-go.



Velocyped rakieta.



Celerifer (pierwotny velocyped).



Najnowszy rower na śniegach. Tylne koło ostremi szprychami uderza w śnieg lub lód i popycha maszynę, przednie koło na jednej płozie służy, jako kierownik.

Wrażliwą dziewczynkę tak zachwycił ten widok, że aż na bladą jej twarzyczkę wystąpiły rumieńce. Różowa góra przypominała jej bajki o złotych pałacach, koralowych dachach i różnych cudownościach. Pan Jakób odezwał się, że kupcy handlujący herbatą zrobiliby tu dobry interes.

— Cóż te kwiaty mogą mieć za związek z herbatą? — zapytała panna Katarzyna.

— Używane są do fałszowania — odrzekł. — Wąskie, ząbkowane liście Wierzbówki, podobne są do kształtu i barwy do liści krzewu herbatniego. Otóż listki te poddane takiej samej czynności, jak liście herbaty, naśladują je do złudzenia: zwijają się w dłoniach, suszą, i po ususzeniu mieszają z herbatą prawdziwą. Wprawne tylko oko dostrzeże zafałszowanie.

Marysia zaczęła prosić, żeby wóz przystanął, bo chciała urwać sobie trochę kwiatów, ale góral sprzeciwił się temu, mówiąc:

— Trza nam się spieszyć, coby my zaś z deszczem nie wracali.

— Co mówicie o deszczu, przy takiej pięknej pogodzie! — obruszyła się panna Katarzyna.

— Ale Babia góra w czepcu — odrzekł, wskazując biczyskiem na zachód, gdzie widniało pasmo Beskidów i szczyt, który mgły owijały.

— Może też słońce zdejmie ten czepiec — pocieszał doktor — poco się martwić zawczasu? Mam nadzieję, że dolina Kościeliska pokaże nam się w całej swej krasie, choć nie jest to zupełnie bezzasadne co mówi nasz woźnica. Górale mają dwa barometry rzadko ich zawołujące: Babią górę i Gewont.

— Czy te różowe kwiaty, z których się robi herbata, rosną tylko w górach? — zapytała Marysia.

— O, nie, to nie są kwiaty wyłącznie górskie; można je często spotkać na równinach.

— A ja ich nigdy nie widziałam!

— Bo tam rosną pojedynczo, więc nikt nie zwraca na nie uwagi, a tutaj występują w całej masie, więc biją w oczy zdaleka.

Wóz to spuszczał się na dół, to wspinał do góry, a woźnica szedł przy nim, rozmawiając z końmi i hamując koła wedle potrzeby. W wozie także rozmawiano wesoło, a starszka patrząc na rozpromienione twarze dzieci, wdzięczną była z całego serca doktorowi, że ją do tej wycieczki nakłonił. Wreszcie po godzinie zjechano na łąkę około tartaka, przy której stoi chatka gajowego.

— Jak się zwie ta polanka? — spytał Henryk.

— Kiry.

Panna Katarzyna przeżegnała się.

— Jezus Maryja! — zawołała — czyż jedziemy w krainę żaloby! Kiry strzegą drogi do Kościelisk...

— Niech się pani uspokoi — rzekł, uśmiechając się doktor — nic niema żalobnego w tej krainie, zwłaszcza w takim dniu słonecznym jak dzisiejszy.

— A nawet — upierała się starszka — te stoki gór ciemnym lasem porośłe, wyglądają doprawdy, jak kiry.

Jasiek zatrzymał konie i podbiegł ku skale, której kawałek odłupawszy siekierką, przyniósł Marysi, mówiąc:

— Niech se sowajom. ¹⁾

— Co to takiego? — zawołała dziewczynka ze zdziwieniem, przypatrując się niespodzianemu podarunkowi, podczas gdy wóz ruszył dalej.

— To je jarec — objaśnił Jasiek.

— Coś jakby skamieniałe zboże — zauważył Henryk.

— Podobne do ziarn jęczmienia — dodała panna Katarzyna ²⁾.

— Bo też jęczmień po góralsku zwie się jarcem — rzekł doktor — opowiadają nawet legendę, skąd się tu wziął, ale to nic nie ma wspólnego ze zbożem. Ziarnka te, są to mu-

¹⁾ Schowają. ²⁾ Patrz str. 78.

szelki skamieniałe, w których niegdyś mieszkały drobne żyjątka. Gromadziły się tu powoli całe ich pokolenia i powstała stąd skała. Mineralogia zwie takie skały wapienne numulitowemi.

— Kiedyż to było, panie Jakóbie? — spytał chłopiec.

— Bardzo dawno, jeszcze przed stworzeniem człowieka, w owych czasach zamierzchłych o których mówi Pismo Święte: „I duch Boży unosił się nad wodami.” Tatry były wtedy łożyskiem oceanu.



Wieczernik damski, *Hesperis*.



Kęszyna niska *Carlina acaulis*.

— Ale nie wszystkie skały powstały z takiego jęczmienia?

— Nie: wiele jest pochodzenia ogniowego, znów inne składają się z tak drobnutkich skorupki zwierzęcych, że dojrzeć ich nie można bez mikroskopu, a wszystko to żyło niegdyś w wodzie. Zwolna dopiero morze ustępować zaczęło, a z głębi wód wynurzały się różne pokłady, poosadzane przedtem na dnach morskich. W wielu miejscach na ziemi tym sposobem powstały całe łańcuchy gór i wielkie obszary lądów.

— Nie może mi się to w głowie pomieścić, jak uczeni mogą wiedzieć, co się działo przed stworzeniem człowieka — powiedziała panna Katarzyna, wzruszając lekko ramionami. — A co się kiedyś stanie, czy także wiedzą?

— Z tego co było i jest, wnoszą o tem co będzie.

— A czy Anglik znajdzie różę bez kolców? — zapytała Marysia.

— Skoro uczeni wszystko wiedzą, to może nain pan odpowie na to pytanie — wtrącił z uśmiechem Henryk, nie chcąc się przyznać, że sam różę bez kolców cingie miał na myśli, i że jej wzdłuż drogi, którą przeżywali, upatrywał.

Panna Katarzyna zwróciła na Jakóba oczy z wyrazem oczekiwania, bo i ją także interesował cudzoziemiec.

— Sądzę, że znajdzie czego szuka — odrzekł poważnie.

Odpowiedź ta choć niezupełnie jasna, zadowolniła wszystkich.

Przejechawszy od tej skały kawałek drogi wśród lasu, wóz dotarł pierwszej bramy Kościeliskiej z olbrzymich skał utworzonej, gdzie Towarzystwo Tatrzańskie umieściło



Wierzbówka wąskolistna *Epilobium*.



Dziwięciornik, *Parnassia*.

tablicę, poświęconą pamięci pośła Kantaka, który w Berlinie w obec Niemców dzielnie się za ludnością polską ujmował. Widok od tej bramy dawał już niejaki pojęcie o tem, czego się po za nią spodziewać było można, i dzieci wydawały okrzyki zachwytu i radości, ale pan Jakób mitygował je, mówiąc, że dalej będzie jeszcze piękniej, więc trzeba żeby byli oszczędniejsi w uniesieniach.



Numulity.

Wody uchodzą stamtąd z szumem wielkim, a nad potokiem jest droga usłana z głazów. Po tej drodze wóz przejechał na rozległą polanę, otoczoną dokoła lasem, ponad którym wycierają olbrzymie turnie — i minawszy pasterskie szalasy, posuwał się obok rozpadających się w gruzach budynków. Tu były dawniej kuźnie obrabiające żelazo i luty przerabiające rudę dobywaną w Kościeliskach. Gdy się wierzchnie pokłady wyczerpały, zaniechano głębszego kopania, jako nieopłacającego się.

Tutaj zwracają uwagę podróżnych stare lipy, osobliwość botaniczna, bo lipa nie zwykła rosnąć na takiej wysokości.

— Niegdyś było tu gwaro i ludno; teraz jest cisza i pustka — odezwał się doktor — a na gruzach budynków mech porasta. Zakopane takie dziś głośnie ze swych własności uzdrawiających, wtedy było nieznaną wiosczyną. Jest tu w lesie kapliczka postawiona na miejscu dawnego kościołka, który dla całej dalekiej okolicy podtatrzańskiej był jedyną świątynią Bożą.

— Więc Zakopane nie miało kościoła? — spytała panna Katarzyna.

(d. c. n.)

TESTAMENT DZIWAKA,

POWIEŚĆ

JULIUSZA VERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

Uznanie dla testatora było od tej chwili bezpodzielne. Pan Tornbrock czytał dalej:

„Kwestyę, który mianowicie z pięćdziesięciu naszych Stanów najstosowniej było powtórzyć owe czternaście razy, rozstrzygnąłem bez trudu. Bo czyliż mogłem wybrać inną ziemię, jeśli nie tę, której bogate łąki zraszają wody Michiganu, która słusznie jest dumną z takiego jak nasz grodu, tej ziemi, zwanej Królową zachodu, — tego Illinois szczerze wyposażonego przez naturę, mającego z północy wielkie jezioro Michigan, od południa rzekę Ohio, od zachodu Missis-

pi, a Wabach od strony wschodniej; krainy słynnej z bogactw, jakie daje łąd i woda; krainy stojącej w pierwszym rzędzie naszej zjednoczonej Rzeczypospolitej...”

Nowy grzmiot okłasków i nowe przeciągłe „hura,” wstrząsnęły gmachem teatru i odbiły się echem wśród zebranych na ulicy tłumów.

Gdy nareszcie zapanowała znów cisza, rejent Tornbrock mógł czytać dalej.

„Pozostawało mi jeszcze tylko wybrać partnerów do tej wielkiej gry, jaka ma być rozegraną na olbrzymim terytorium naszego państwa, tak jak to szczegółowo wskaże znajdująca się w tej kopercie, a ułożona przezemnie mapa, która niechaj zostanie wydana w tysiącach egzemplarzy, aby kto tylko zechce mógł śledzić poruszenia grających.

Wybór partnerów zdałem losowi, uważając ten sposób za najlepszy, a wybrani ci, w liczbie sześciu, powinni się w tej chwili znajdować na scenie Auditoryumu.

Obowiązkiem ich będzie przenosić się osobiście nie tylko do tego Stanu, jaki każdemu przeznaczy ilość punktów rzuconych kości, ale nawet do miejscowości wskazanej przez wykonawcę mego testamentu, w czym się zastosuje do załączonych poniżej wskazówek.”

A więc taką była rola przeznaczona dla „sześciu.” Niby żywe piony poruszane kaprysem losu mieli oni na tej olbrzymiej szachownicy Zjednoczonej Rzeczypospolitej, odegrać jakąś nieprawdopodobną partyę...

Jeżeli Tom Crabe nie rozumiał nic zgoła, jaką właściwie myśl miał William I. Hyperbone, współpartnerzy jego pojęli ją od razu, a zgromadzona publiczność poczęła już spoglądać na nich jako na istoty wyjątkowe, postawione nieledwie ponad wszystkich śmiertelników. Ze wzrastającym też ciągle zainteresowaniem słuchano następnych rozporządzeń zmarłego.

„Życzę sobie „pisał on w dalszym ciągu” aby we dwa tygodnie po odczytaniu mego testamentu, rejent Tornbrock w obecności członków Klubu Dziwaków, zgromadzonych w tejże sali Auditoryumu, rzucił własnoręcznie po raz pierwszy załączone tu kości i czynność tę powtarzał następnie co dwa dni, przesyłając telegraficzne zawiadomienie pod adresem tego z partnerów, któremu z kolei przypadnie zmienić wskazane grą miejsce pobytu.

Depeszę tę adresat obowiązany jest odebrać własnoręcznie tegoż dnia o 12 godzinie w południe, pod karą zupełnego usunięcia z gry.

„Zważywszy obecną łatwość i szybkość komunikacji po ziemiach Zjednoczonych Stanów, poza granicę których żadnemu z „sześciu” również pod karą wykluczenia nie jest wolno w tym czasie wyjechać, uznałem, że dwa tygodnie wystarczą na każde przenoszenie się z miejsca na miejsce, choćby nawet dane miejscowości leżały od siebie jaknajdalej.”

A więc jeżeli wszyscy „wybrani” zgodzą się przyjąć przedstawioną sobie rolę wraz z obowiązującymi zastrzeżeniami, czym właściwie kosztem odbywać mają te szalone podróże?..

Pytanie to rozstrzyga testator w słowach, które rejent czyta wśród głębokiej ciszy:

„Każdy z partnerów obowiązany jest przenosić się własnym kosztem z jednej przedziałki do drugiej, czyli z jednego Stanu do drugiego, jak również z własnej kieszeni wnosić przypadające nań opłaty. Pojedynczą opłatę oznaczam w sumie tysiąca dolarów; w razie nieuiszczenia takiej, grający traci prawo do dalszej gry.”

— Tysiąc dolarów toż to nie drobnostka! A gdyby też przy możliwym braku szczęścia wypadło ponieść taką stratę kilka — pomyślał z przerażeniem Herman Titbury, a brzydkie wykrzywienie jego twarzy znalazło odpowiedź w czerwonem jak burak obliczu jego małżonki.

Ale Titbury mają bądź co bądź z czego czerpać, podczas gdy innym wydatek takich kilku tysięcy dolarów może przedstawić wiele trudności i narazić na przykre następ-

stwa. Bo chociażby skorzystali z pożyczki, która im prawdopodobnie przedstawioną zostanie przez spekulantów, na jakich nie zbywa w wolnej Ameryce, to któż zaręczy, czy ostatecznie będą mieli czem dług ten spłacić.

„Majątek mój” czytał dalej rejent „umieszczony w nieruchomościach, placach, bankach, akcyach fabrycznych i kolejach żelaznych, których dowody złożone są w ręku pana Tornbrocka, szacuję na sześćdziesiąt milionów dolarów...”

Szmer zadowolenia przebiegł po sali. Odczuwano niejako wdzięczność i uznanie dla zmarłego za to, że zostawił tak znaczne kapitały, których cyfra nawet w tym kraju Gouldów, Bennetów, Huthinsonów, Van der Biltów, Priorów, Hatty Greenów wreszcie May Gecllet, królowej wychowawczyń i uczennic, oraz tylu innych miliardowiczów, królów cukru, zboża, mąki, nafty, kolei żelaznych, miedzi, srebra i złota!.. miała swoje znaczenie.

I czyliż ten, albo ci z „sześciu,” którym ów majątek przypadnie nie otrzymają dosyć, by się czuć zadowolonymi..? Ale w jakich właściwie warunkach będzie on im przyznany?..

Na pytanie to odpowiada testator w słowach:

„Wiadomo, że w szlachetnej grze „gęsi” wygrywającym jest ten, który pierwszy przybywa do sześćdziesiątej trzeciej przedziałki.”

Trzeba wszakże, aby ostatecznie rzucenie kości wskazało tylko taką liczbę punktów, jakiej właśnie jeszcze brakuje, w razie bowiem gdyby ich było zawiele, grający cofa się o tyle przedziałek, ile ma zbyt wielu punktów.

„Zatem stosownie do tej zasady spadkobiercą całego mojego majątku będzie ten z partnerów, który pierwszy dojdzie do sześćdziesiątej trzeciej przedziałki, czyli do sześćdziesiątego trzeciego Stanu, którym na mej mapie jest... Illinois.

— A więc tylko jeden, jedyny wygrywający!.. I nie zupełnie jego partnerom po tylu trudach podróży, tylu wzruszeniach, tylu poniesionych wydatkach? — wołano w teatrze.

Nie! Jeszcze o drugim wspomina testament:

„Ten, który przy końcu partyi będzie się znajdował najbliższej sześćdziesiątej trzeciej przedziałki” czyta pan Tornbrock „otrzyma owe tysiące dolarów, składane na ręce mego rejenta, jako opłaty w ciągu całej gry, a które zależnie od fantazyi losu mogą stanowić ostatecznie nawet znaczny kapitał.”

Dopisek ten słuchacze przyjęli dość obojętnie, taki czy inny przyjęty być musi.

Ale William I. Hypperbone dodaje jeszcze:

„Jeżeliby dla jakiegokolwiek powodu jeden albo więcej partnerów usunęło się od gry przed jej zakończeniem, niezależnie od tego będzie ona graną przez tych, którzy w niej pozostali nadal. Gdyby zaś wszyscy ją opuścili, majątek mój cały przekazuję miastu Chicago, jako legalnemu memu spadkobiercy, z zaleceniem, aby użyty został dla dobra ogółu.

Ostatecznie testament kończył się temi słowami:

„Taką jest wyraźnie wypowiedziana wola moja, nad której wykonaniem czuwać będą: Jerzy B. Higginbotham, prezes Klubu Dziwaków, wraz z rejentem Tornbrokiem.

Żądam, aby wszystkie pomieszczone tu paragrafy wykonane zostały z największą ścisłością, jak również wszystkie zasady gry gęsi, po Zjednoczonych Stanach Ameryki.

Pozostaje mi tylko wyrazić życzenie, aby Bóg pokierował grą, i dał wygraną najgodniejszemu z powołanych partnerów.”

Nowe „hura” przyjęło ten zwrot testatora do Opatrzności, poczem zebrana w teatrze publiczność gotowała się do rozejścia, gdy Tornbrock energicznym ruchem ręki nakazał spokój, dodając:

— Jest jeszcze dopisek!..

Dopisek?... Cóż w nim takiego?... Czyliżby cały tak sztucznie obmyślany testament miał być jednym zamachem

unicestwiony?... A może — toż wszystkiego po takim dziwaku spodziewać się można, może tym dopiskiem przyzna się do jedynie mistyfikacji, w którą miał fantazyę zabawić się chwilowo...

Tymczasem notaryusz czytał:

„Do sześciu partnerów wskazanych losem, przyłączony zostaje siódmy z mego wyboru, który figurując na liście pod literami X. K. Z. używać będzie praw swych współzawodników i tymże samym regułom poddać się jest obowiązany.

Imię zaś i nazwisko jego wtenczas tylko zostanie odkryte, jeżeli posłuży mu szczęście i wygra partyę. W ciągu gry wszelkie zawiadomienia przesyłane mu będą tylko pod załączonym inicjałem.

Taką jest moja wola ostateczną”

Dopisek ten wydał się wszystkim bardzo dziwnym.

— Oczywiście kryje się tu jakaś tajemnica — ale jaka?..

— Na cóż się przyda długie rozmyślanie! Któżby zdołał zgłębić dziwaczne pomysły oryginała? — powtarzano wśród publiczności, opuszczającej tłumnie salę teatru Auditorium.

Gra w „Stany Zjednoczone.”

Wieczorne numera dzienników dnia tego i ranne następne, rozkupione zostały w podwójnej, a nawet potrójnej cenie. Wprost wyrwano je przekupniom. Bo jeżeli ośm tysięcy osób zgromadzonych w teatrze mogło słyszeć odczytanie testamentu, to setki tysięcy w samym Chicago, a całe miliony we wszystkich Stanach, również pożerani ciekawością nie mieli tego szczęścia.

Ale w miarę jak obszernie artykuły, interviewy, i reporterskie wiadomości udzielały upragnionych szczegółów i objaśnień, poczęto znowu niecierpliwie dopytywać, kiedy ukaże się do nabycia reprodukcy mapy ułożonej przez Williama I. Hyperbona, wedle wzoru prastarej gry „gęsi.”

Wszyscy żądali jaknajprędzej dowiedzieć się w jakim porządku zacny członek Klubu dziwaków rozmieścił w przedziałkach wszystkie pięćdziesiąt Stanów wolnej republiki. Które z nich wskazywały na opóźnienie, na areszt dłuższy lub krótszy, na cofanie się wstecz, na nowe rozpoczęcie gry, wreszcie na owe opłaty pojedyncze, podwójne i potrójne?..

A jeżeli wyrozumiemy tę ciekawość ogółu, o ile słuszniejszą była ona u „sześciu,” którym przecież najwięcej zależy otrzymać jakąś pewność pod tym względem.

(d. c. n.)

Siostra Pascala.

Z ŻYCIA NIEZWYKLYCH DZIECI.

Pokazują jeszcze w Clermont, w środkowej Francji, dom, gdzie się urodził w r. 1623 Pascal, wielki matematyk i filozof francuski i jego dwie siostry. Mały Błażej, który później okrył sławą nazwisko Pascalów, przyszedł na świat jako bardzo słabe i wątłe dziecko. Gdy miał rok zaledwie, zachorował tak ciężko, że już zwątpiono o jego życiu. Ale modlitwy i troskliwość matki uratowały go.

Dziecko przyszło do siebie i rozwijało się bardzo szybko. Jego siostra *Jacqueline* (Jakobina) była równie jak on nad wiek rozwinięta. Dzieci te były do siebie podobne; dziewczynka miała to samo czoło wysokie, oczy błyszczące i dumny wyraz twarzy.

Kiedy *Jacqueline* miała lat ośm, a Błażek dziesięć,

zwracali ogólną uwagę swą urodą, ale jeszcze większy zachwyty budziły ich niezwykle zdolności

Młody Pascal miał szczególne zamiłowanie do nauk ścisłych i prosił ojca, aby go wtajemniczył w te zasady matematyki, które budziły jego ciekawość. Ale ojciec odmówił mu, bo obawiał się, że chłopiec zaniedba inne nauki, zwłaszcza języki starożytne.

Wówczas młody Pascal zaczął sam rozmyślać nad tą nauką. W godzinach rekreacji zamykał się w ustronnej salce i tam z ołówkiem w rękę rysował na ścianie figury geometryczne i dochodził sam ich różnych właściwości. Pewnego razu zastał go ojciec przy tem zajęciu. Widok ten wzruszył go niemal do łez. Od tego dnia nie sprzeciwiał się jego zamiłowaniu i pozwolił mu brać udział w uczonych zgromadzeniach, które się u niego co tydzień odbywały.

Jacqueline lubiła także rozmyślać w samotności. Była to urodzona poetka, jak nasza Urszulka Kochanowska. Od siódmego roku życia mówiła wierszami. Gdy Gilberta jej starsza siostra, która dzieciom matkę zastępowała, chciała ją uczyć czytać, dziewczynka oparła się temu i uciekała od lekcji. Pewnego dnia usłyszała, jak siostra czyta głośno poezye. Zachwycona niemi, powiedziała „Jeżeli chcesz, abym czytała, to każ mi czytać wiersze.” Od tego dnia mówiła zawsze wierszami, uczyła się ich z łatwością, a gdy poznała zasady poetyki, zaczęła układać wiersze. Miała wtenczas lat ośm.

Ojciec tych genialnych dzieci przeniósł się do Paryża, aby im dać staranne wychowanie. Jacqueline zaprzyjaźniła się tam z dwoma dziewczynkami, które równie jak ona miały zdolności do poezyi. Raz panienki postanowiły napisać komedję. Była to sztuka w pięciu aktach. Grały ją z pomocą innych również młodych artystek i artystów. Zebrało się liczne grono słuchaczy, którzy dziwili się, że dzieci w tym wieku potrafiły podobną rzecz napisać.

Były tam bardzo ładne ustępy. Na dworze królewskim, w mieście całym, mówiono dużo o tem, a dziesięcioletnia *Jacqueline* zasłynęła jako poetka.

Królowa Anna zwana Austriaczką, matka Ludwika XIV, zapragnęła ją poznać. Pani de Montargis, przyjaciółka ich rodziny podjęła się wprowadzenia *Jacqueline* na dwór królowej.

Kareta królowej zawiozła panią de Montargis i jej małą towarzyszkę do pałacu w Saint-Germain. Zaprowadzono dziewczynkę do gabinetu królowej, gdzie było zebrane liczne towarzystwo. Królowa przyjęła ją dobrotliwie i przeczytała wierszyki na jej cześć ułożone. Ale zdawało jej się, że tak młode dziecko nie mogło bez cudzej pomocy tych wierszy napisać. Wszyscy obecni byli tego samego zdania. Wtenczas jedna z księżniczek zbliżyła się do *Jacqueline* i rzekła.

— Jeżeli takie ładne wiersze piszesz, to ułóż także coś dla mnie.

Jacqueline usunęła się na chwilę w głąb pokoju i po kilku minutach powiedziała bardzo ładny wierszyk.

Królowa i wszystkie damy dworu były brawo. Od tego czasu siostrzyczkę *Pascala* często powoływano na dwór, gdzie ją wszyscy pieścili, król, królowa i księżniczki.

Szczególnie zachwycała w niej swoboda i naiwność dziecięca. Ze swemi towarzyszkami bawiła się we wszystkie gry dziecięce, a gdy była samą, lubiła bawić się lalkami.

Pomimo powodzenia *Jacqueline* u dworu, pomimo geniuszu jej brata, który był już sławnym i o którego znajomość ubiegali się wielcy panowie i książęta, ojciec ich o mało co nie został zamknięty w Bastylii (słynne więzienie stanu w Paryżu) przez kardynała *Richelieu*, pierwszego ministra; zdołał jednak ukryć się zawczasu.

Kardynał *Richelieu* lubił często dawać przedstawienia w swoim pałacu. Księżniczka *d'Aiguillon*, siostrzenica jego, zajmowała się urządzaniem tych przedstawień. W lutym roku 1637 urządziła przedstawienie dziecinne. Miano grać tragi-komedję panny de *Scudéry*. Księżniczka przypomniała sobie *Jacqueline*, jej przyjaciółki i młodego *Pascala*. Ale *Gilberte*, starsza ich siostra, która czuwała nad rodzeństwem w nieobecności ojca, odpowiedziała z godnością dworzaninowi, przysłanemu w tej sprawie.

— Kardynał za dużo nam robi przykrości, aby nasze dzieci miały go hawić.

Księżniczka nalegała i kazała nawet powiedzieć, że ułaskawienie ojca od tego zależeć może. Wobec tego przyjaciele i znajomi rodziny postanowili, że *Jacqueline* przyjmie rolę w sztuce. Sławny aktor *Montdory* dawał jej lekcye. Nadszedł dzień przedstawienia. *Jacqueline*, która miała zaledwie dwanaście lat, grała tak ślicznie, że oczarowała wszystkich obecnych, a przedewszystkiem kardynała. Skorzystała więc ze swego powodzenia, aby uzyskać ułaskawienie ojca. *Stefan Pascal* wrócił do Paryża ze swemi dziećmi, przedstawił się kardynałowi, który go przyjął bardzo łaskawie.

— Znam pana zasługi — rzekł mu — i zwracam go rodzinie. Chciałbym, aby te dzieci sławą nazwisko pana odkryły.

We dwa lata później ojciec *Pascal* został mianowany burmistrzem w Rouen gdzie też zamieszkał ze swoją rodziną. *Jacqueline* otrzymała nagrodę, udzielaną co rok w Rouen w święto Niepokalanego Poczęcia Matki Boskiej, za poemat treści religijnej. Zaniesiono nagrodę *Jacqueline* w uroczystym pochodzie, przy odgłosie trąb i bębnow. Słynny poeta ówczesny *Corneille*, obecny przy tej uroczystości, zaimprovizował odę na cześć młodej poetki, gdzie wystawia jej tryumf i skromność.

Któż może powiedzieć, jak wysoko byłby się wzniosł pod kierunkiem *Corneille*'a ten umysł niezwykły? Ale sława i rozgłos przerażały *Jacqueline*. Odwróciła swój wzrok od świata i jego uroków i myślała tylko o życiu przyszłym. Od tego czasu pisała tylko wiersze na chwałę Bożą i wkrótce wstąpiła do klasztoru *Port-Royal* pod Paryżem i tam w cichych murach zakonnych ukryła swą piękność i swe zdolności.

Senta.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie zlr. 6. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Ogień ze słońca przez St. Kramsztyka. — Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej przez Zofię Urbanowską (z ryc.) — Ryciny do art. Historia środków komunikacji. — Testament dziwaka, powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. (z ryc.) — Siostra *Pascala*, z życia niezwykłych dzieci. — Dodatek: — Piosnka druciarza, wiersz przez Zofię Zacharkiewicz (z ryc.) — Bohater *Pawelka* i *Ewci* (c. d.) — Wicher i promień słońca. — Łamigłówni i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Pojednani, powieść z czasów Napoleona I-go przez Teresę Jadwigę.



Piosnka druciarza.

Drutuję garnki! drutuję!
A mam do pracy ochotę,
A pragnę na chleb zarobić,
Dajcież mi, państwo, robotę!
Rzuciłem góry rodzinne,
Przyszedłem tutaj mil wiele,
Chodzę od domu, do domu
I proszę pracy nieśmiele
Ojciec mój biedny nie żyje,
Nie mam już dobrej matuli,
Nie mam rodzinnej ja chatki,
Nikt mnie nie pieści, nie tuli.
Czy mróz panuje na dworze,
Piękna pogoda, czy słońce,
Ja wołam: garnki drutować!
Bo miła mi jest robota.
Pełnię ją zawsze z ochotą,
Pełnię ją zawsze cierpliwie.
Bo drutowaniem zarabiam,
Na chleb i odzież uczciwie.

Drutuję garnki! drutuję!
A mam do pracy ochotę,
Drutuję miski, dzbanuszek!
Dajcież mi państwo robotę!

Zofia Zacharkiewicz.

Bohater Pawełka i Ewci.

(Dalszy ciąg).

Ta ostra uwaga tak przestraszyła Pawełka, że nie mógł ani słówka odpowiedzieć. Rys się zaczerwienił i rzekł:

— On wcale nie myślał zrywać [tego kwiatu]. Powiedziałem mu, żeby się go dotknął i przekonał, czy jest prawdziwy. My tu nie robimy żadnej szkody.

— Tak, nie robi panicz żadnej szkody, jak mi tu naprowadza do cieplarni gromadę dzieciaków, sądzę, że to moim kwiatom nie wyjdzie na dobre.

Dzieci spiesznie pobiegły do drugiej cieplarni, przeznaczonych na jeszcze delikatniejsze rośliny. Zaledwie Rys drzwi do niej otworzył, gdy ogrodnik zawołał:

— Proszę zamykać drzwi za sobą.

Rys, idący za Pawełkiem i Ewcią, trzasnął drzwiami z całej siły, a potem zawołał z oburzeniem:

— Słyszeliście go! Co on ma za prawo rozkazywać mi tutaj, i mówić o *swoich* kwiatkach? Na złość chciałbym mu zniszczyć jaki najpiękniejszy kwiat.

— A co on by ci za to zrobił, Rysiu? — spytał Pawełek przerażony, ale w duszy podziwiał śmiałość przyjaciela.

— On nie śmiałyby mi nic zrobić, ale powiedziałyby dziadkowi, a nie wiem co by mi dziadek za to powiedział. Ten Maciej za wiele sobie pozwala, ja go nie cierpię. On hoduje te piękne kwiaty i owoce na to tylko, aby wziąć za nie nagrody na wystawie ogrodniczej. Ale ja mu kiedy figla wyplątam.

— O! patrz! patrz! Pawełku, co tu jest wysoko! — zawołała Ewcia, spojrzawszy przypadkiem w górę, i wskazała paluszkami na przepyszne winogrona, które zwisały się u spadzistego, szklanego dachu. Pawełek znał dobrze winogrona, ale tak prześlicznych nigdy dotąd nie widział, patrzył też na nie z zajęciem.

— O, my codzień jadamy winogrona. Dziś po obiedzie schowam dla was po gronku i jutro je wam przyniosę, bo dziadek pozwala mi ich jeść, wiele tylko zechcę.

Dziadek mówi, że na całą okolicę Maciej umie najlepiej prowadzić wino... A teraz chodźcie do owocowego ogrodu, pójdziemy na porzeczkę, tych przynajmniej Maciej nie może porachować, a w ogrodzie wolno mi rwać wszystkie owoce.

Za chwilę dzieci wyszły z cieplarni. Na nieszczęście Maciej, śledząc ich przez okno, zauważył, że ze dworu jeszcze przypatrywali się prześlicznym winogronom, to go zaniepokoiło, otworzył przeto drzwi cieplarni i zwracając się do Rysia, rzekł:

— Paniczu! proszę nie przyprowadzać tu więcej tych mieszcuchów. Tu są moje wystawowe winogrona, i przeciąg powietrza mógłby im zaszkodzić, albo które z pańskich gości zechciałoby je dotknąć ostrzegam tedy, że ktobykolwiek dotknął się moich winogron, na nic nie będę zważał, tylko zbije na kwaśne jabłko.

Po tych groźnych słowach srogi Maciej zniknął za drzwiami cieplarni. Na to Rys wybuchnął gniewnym śmiechem.

— Chciałbym widzieć, jakby to on śmiał mnie wybić! Jego winogrona — prawdziwy stary idyota! O, widzę! tam w kącie to jego wystawowe grono. To ci dopiero piękność. Byłby to pyszny figiel, żeby mu je zerwać i zjeść.

— Chodźmy stąd lepiej, Rysiu! — rzekł Pawełek wystraszony, choć w duszy podziwiał odwagę Rysia.

Gdy oddalili się od cieplarni, Rys położył rękę na ramieniu Ewci i zapytał:

— Czy nie chciałabyś zjeść trochę tych ładnych winogron? Ja się muszę odplacić temu staremu Szkotowi.

IX.

Winogrona.

— Postanowiłem zemścić się na Macieju, i uczynię to, Pawełku. Nie próbuj nawet odwozić mnie od tego, bo jak sobie co postanowię, to zawsze wykonam.

Wszyscy troje siedzieli w tej chwili pod cieniem prześlicznego kasztana, Pawełek i Ewcia zjadali winogrona, które im Rys według obietnicy przyniósł z dnia wczorajszego.

Ewcia wysysała jak prawdziwa smakoszka po jednej jagodzie wyborne winogrona, Pawełek zaś słysząc postanowienie Rysia, bardzo się zasmucił.

— Ja wiem, że zrobisz to, co sobie postanowisz — rzekł. — Ale właśnie pragnę, abyś nie czynił takiego postanowienia. Nie myśl o Macieju. Nie potrzebujemy zbliżać się do niego. Tu jest daleko ładniej pod tym wielkim kasztanem, niż w jego cieplarniach.

— Pawełku, ty mówisz zupełnie jak on! Właśnie, że to nie są jego cieplarnie, a wszystko co do dziadka należy, będzie kiedyś moje, więc i dziś mogę je już za swoje uważać. Ja nauczę tego starego Szkota rozkazywać mi. Zerwę mu jego wystawowe winogrono!

— O Rysiu! nie czyni tego — zawołał Pawełek przerażony. — To byłoby prawie kradzieżą — iść potajemnie i zerwać owoc, który on wyhodował z takim staraniem.

— Głupstwo! Byłby to tylko pyszny figiel! Toby go nauczyło jak ma się ze mną obchodzić. Słuchaj, Pawełku, najprzód musimy się dowiedzieć gdzie on jest teraz, ty go będziesz pilnował, a ja pobiegnę do cieplarni.

Jakby on kierował się w tamtą stronę, dasz sygnał Ewci, która będzie na pół drogi między tobą a cieplarnią, i mnie znów da sygnał, a ja ucieknę przed zbliżającym się niebezpieczeństwem, w ten sposób nieprzyjacieli nigdy się nie dowie, że wróg krąży koło jego obozu. Widzisz, to będzie jak prawdziwa wojna!

Rysiowi, gdy to mówił oczy błyszczały zapalem, i tak dalej ciągnął:

— Ty i Ewcia będziecie przednią strażą, a ja będę oddziałem napadającym niespodziewanie na nieprzyjaciela i złupię jego obóz.

— A potem zjemy to wielkie winogrono co tam wisiało? — zapytała Ewcia.

— Naturalnie. Podzielimy się łupem na równe części — choć nie wszyscy będziemy w równym niebezpieczeństwie. Ty będziesz zupełnie bezpieczny, Pawełku, więc rozweś się, chłopcze. Będzie to przepyszna zabawa.

— Rysiu, czyż nie pamiętasz co Maciej powiedział? Że zbije na kwaśne jabłko każdego bez wyjątku, kto się dotknie jego winogron. Nie chodź tam, Rysiu, zostaw je w spokoju!

W spojrzeniu i w głosie Pawełka była wielka prośba, ale Rys był niewzruszony.

— Ciągłe mówisz, Pawełku, że jesteś przyjacielem bohatera! — rzekł z pogardą, a boisz się widocznie, aby Maciej nie wybił cię przez pomyłkę. Lecz nie myśl mój kochany, abym ja cię na coś podobnego naraził. Jeżeli jest jakie niebezpieczeństwo, to mnie ono grozi jedynie. A teraz chodź, zobaczymy, gdzie jest nieprzyjacieli i pilnuj go. Może dziś nie będziemy mogli go atakować, ale musimy się spieszyć, bo Wystawa będzie za dwa dni, więc i on wkrótce sam utnie winogrono.

— Bardzo tego pragnę. Rysiu! Daruj mi to, co wczoraj powiedział. Kiedyindziej odplacisz mi za to — prosił Pawełek.

Ale Rys rzekł gniewnie:

— Jesteś prawdziwym tchórzem. Wcale nie chodź ze mną! Ja i Ewcia damy sobie radę bez ciebie. Pójdź Ewciu.

Dziewczynka poskoczyła wesoło, Rys wziął ją za rękę i poszli razem w głąb ogrodu. Pawełek podniósł się wolno i poszedł za nimi kilka kroków.

Rys się odwrócił.

— Wróć się! — zawołał wyniośle. — Nie chcę, aby tchórze brali udział w tak niebezpiecznej wyprawie. — Mógłbyś nas zdradzić!

— Rysiu! Rysiu! Wiesz przecież, że zrobię wszystko co mi każesz — zawołał Pawełek.

— A więc wróć się, jestem twoim generałem i rozkazuję ci zrejterować i zaopiekować się kobietami i dziećmi — komenderował Rys.

Po tym rozkazie generał pomaszerował naprzód z wierną sobie Ewcią, i wkrótce znikli Pawełkowi z oczu.

Biedny chłopczyzna rzucił się na trawę i wybuchnął płaczem. To prawda, on jest marnym tchórzem, a Rys jaki odważny! nawet Ewcia choć dziewczyna nie bała się i poszła z nim! Teraz pewnie Rys nie będzie już chciał być jego przyjacielem. Na tę myśl Pawełek zadrzał z rozpaczu.

WICHER I PROMIEŃ SŁOŃCA.

OSOBY:

Wicher, Promień słońca i biedna staruszka.

(Scena przedstawia drogę koło lasu. Początek wiosny, gdzie-ś niedaleko leży śnieg, można go przedstawić za pomocą waty. Promień: biała ubrana dziewczynka z jasno-czerwoną, przezroczystą chusteczką na szyi, siedzi i niby zjada śnieg, leżący wokoło. W rękę trzyma wrzeciono, na którym przedzie ponsowy jedwab; wygląda miłutko i spogląda wesoło).

Promień. Oto już wróciłam na ziemię. Tak dawno nie działałam zielonych sosen i brzoź bezlistnych! Jakże mi było tęskno w tej ogromnej przestrzeni i jak ciężko wędrować od gwiazdy do gwiazdy. Ojciec mój, Król Słońca, ma dużo dzieci, które rozsyła na wszystkie strony świata i każe im oświecać i rozgrzewać planety swoje i księżycy. Ja jestem córką jego i ziemi. Dziś rano powiedział mi: Leć promieniu jasny i zobacz, czy możesz już zamieszkać na ziemi. Leciłam, leciałam, drogą daleką, z Merkurego na Wenus z Wenery na księżyc, z księżycy na ziemię. Podróż trwała 8 minut. Ale gdy już dosięgła kręgu powietrza ziemskiego, spostrzegłam nieprzebitą zaporę gęstych chmur. Wiedziałam dobrze, kto je skłębził i zbił w gromadę — nie mógł to być nikt inny — tylko ten Wicher. Oh, znam ja dobrze tego miłego pana! drugiego tak niepojętego chłopaka nie znajdziecie na niebie i ziemi. Rozbijałam te ciężkie czarne chmurzyska, lecz nie ustępowały. Gdzietam! Skłębiał się coraz więcej przedemną, dopóki nie spojrzałam na nie. Wtedy stało się coś osobliwego. Im dłużej patrzyłam tem szybciej ustępowały chmury, aż nareszcie znalazłam się na ziemi.

Ale cóż ja mam tu robić? Zajadać śnieg bez ustanku — to w końcu znudzi, a przytem niesmaczny bez cukru i konfitur. A gdybym tak zaczęła budzić tę wierzbę do życia? Sprobujmy! *(Ujmuje gałązkę wierzbiny, buja ją i śpiewa):*

Śpij wierzbino moja młoda,
Póki zimno trwa,
Póki brzozy śpią i wrzosy,
Nad polami mgła.
Bo nie zaraz będzie wiosna,
I zakwitnie kwiat,
Śpij wierzbino moja młoda
Póki mroźny świat!

(Mówi). Ale niech cię to nie smuci gałązko wierzbiny, że jeszcze zima, niech tylko popatrzę na ciebie, a zobaczysz, jak ożywcze soki obudzą się w łodyżce twojej i zgromadzą pod cieniuchną korą; serce ci się ogrzeje i usłyszysz tajemnicze głosy zbliżającej się wiosny; tak bywa wierzbino moja! *(śpiewa).*

Słońca oko cię ogrzewa,
Słońca ramię tuli cię,
Zazielenią się wnet drzewa,
Kwiaty wzniosą główki swe,
Raz modlitwę w niebo wzniosę.
Słonka modlitw słucho Bóg,
Z chat dziecińy wyjdą bosc,
Rolę czarną zorze plug.

(Mówi). Widzisz, jak to będzie! Ale czy wiesz wierzbino, co ja ci powiem, oto mnie się zdaje, że tybyś już teraz chciała rozwinąć swoje mięciuchne, jedwabiste puszki. Wstydz się, nie trzeba się tak spieszyć!

Czy myślisz, że to ładnie, kiedy zbyt młody chłopczyk biega już z wąsami. Chodź-no tu wicherze, zawierucho! Zaraz mi zdmuchnij te maleńkie pączki, niech mi wygląda ta gałązka młodzieuchno, jak sześciolatnie dziecko! Ach! cóż ja zrobiłam! niebacznie zawołałam: Wicher. Otóż i on. Słyszę już jego gwizd i szum.

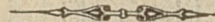
Wicher. *(Chłopczyk czarno ubrany, z rozwianym włosiem, wpada z hałasem, gwizdaniem i ogromnym impetem).*

Hejże ha! Z drogi szyszki, gałęzie i pączki! Precz, precz, nie mam cierpliwości, nie czekam. Świat lezie jak żółw, muszę go popędzić.

Wicher. Co ja tu widzę? Jasny promień słońca wrócił na ziemię i zrobił zaszczyt wysoką swą obecnością! Jakże mogłeś przełamać chmury, ty delikatne stworzenie? Nie myślałem, żeby te małe różowe paluszki mogły być tak silne!

Promień. Widzisz, przysłałam na przekór tobie. Myślisz, że jesteś tak strasznie silny, a tymczasem znajdzie się ktoś silniejszy od ciebie.

(d. n.)



SZARADA

*Pierwsze z drugim dobitnie nasz wieszcz z Czarnolasu
Określił trafnym wierszem ludziom swego czasu!
Kiedy zaś trzecie z pierwszym obok siebie staje,
Uprzytomnia w pamięci morza, góry, kraje.
Wszystko wraz miał być z ciężkim trudem wykopany
Kanał, któryby wielkie złączył oceany;
A jest również i miastem w odległej krainie,
Co na drugiej półkuli swoim handlem słynie.*

ZAGADKA.

Gdzie w formie przebywam kamienia,
Połyskiem przyciągam spojrzenia,
A kędy się zjawiam rośliną,
To kwiaty me barwą swą słyną.
Lecz tam gdzie nie kwitnę, ni błyszczę,
W lot wszystko rozrywam i niszczę.

ŁAMIGŁÓWKA ROKU 1900.

Od Wieczora R. dla Czytelników.

Na arkuszu brystolu lub tektury narysujcie kwadrat i podzielcie go następnie na 16 kwadracików po 4 w każdym rzędzie. Z innego kawałka tektury wykrójcie 16 takiej samej wielkości małych kwadracików i napiszcie na każdym z nich po jednej z następujących cyfr: 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 0, 0, 0, 0, 0, 0. Będziemy więc mieli 10 kwadracików z cyframi od 1 do 10 i sześć z cyfrą 0.

Zadanie polega na tem, żeby kwadraciki z cyframi ustawić na przygotowanym polu w ten sposób, aby summa cyfr w rzędach pionowych wyniosła liczbę roku bieżącego 1900.

KRZYŻ MAGICZNY.

Od Orła czubatego dla Wieczora Rodzinnego.⁸

	A	A			
	B	J			
I	I	K	K	L	L
L	L	N	N	S	S
	U	U			
	Z	Z			

Z podanych wyżej liter ułożyć krzyżujące się nazwy dwóch miast w królestwie Polskiem.

ROZWIĄZANIA DO N-ru. 8-go.

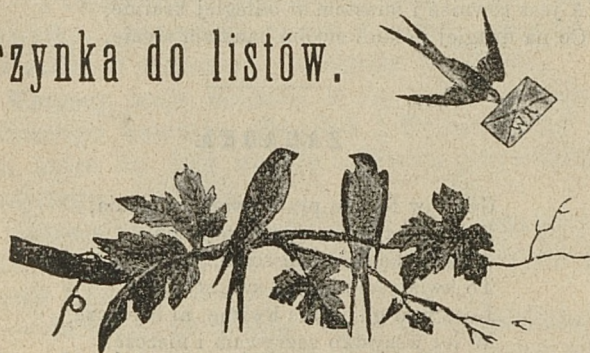
Szarady: Kar — pa — ty.

Arytmogryfu.

g a m m a		p i s z ą
a d r e s		m i e c z
h u z a r		o p e r a
h a n i a		m l e c z
c e t t e		y u k k a
	d w ó r	
	d r ó b	
	p i z a	
	w a l e	
a l b u m		w i l n o
o s k a r		d o l a r
a z t e k		p a r y ż
r ą d e l		p a j ą k
i r e n a		g o ł ą b

Gdzie drzewo rąbią, tam wióry lecą.

Skrzynka do listów.



Panu Józefowi W., Nowej Gwiazdce, Marylce z W., Romci z P., Czapl z nad Dniepru żądane książki wysłano.

Otrzymałmśmy rub. 3 na szpitalik dziecięcy od Stefusia, Wacia i Stasia; rub 1 dla biednych dzieci od Czapl z nad Dniepru i stare marki pocztowe od Mani S.

Dobre rozwiązania szarad, łamigłówek, jako też zadania własnego układu nadesłali: Ludwik P. z Lublina Romcia z P., Słoneczko, Krynia z nad Stuczcy. Czarnuszka i Bielasek, Petersburska Jaskółka, Jasiek z nad Sz., Józio H., Bury Kotek, Nemo, Mania K., Chochlik, Córka M., Lewkonია i Switezianka z nad Switezi, Szarotka i Zawierucha.

Niezmiernie ciekawy i żywo napisany liścik mego dawnego korespondenta Chochlika bardzo mnie zajął i ucieszył, mam nadzieję, że w dalszym ciągu donosić mi będziesz coś o tej odległej

miejsowości, w której zamieszkałeś, o życiu i obyczajach tamtejszych. Nie mogąc się odwzajemnić również ciekawymi wiadomościami, zapewniam cię tylko o swej wdzięczności za pamięć twą o mnie i jeszcze raz proszę o obszerłą korespondencję.

Ziutce P. wysłaliśmy zaginione numera. Bardzo się cieszę, że czytujesz „Wieczory” z takim zajęciem.

Już nigdy więcej Kryni z nad Stuczcy na Krysię przerabiamy nie będziemy, skoro to dało powód do tak zabawnego nieporozumienia. Należność za książkę Glogera otrzymaliśmy. Może zachęcona nagrodą za rozwiązanie zadania arytmetycznego, zechcesz należeć do konkursu na kaligrafię, jeżeli nie przekroczyłaś jeszcze wieku zakreślonego dla tego konkursu.

Pierwszą odezwę Błędnego Ognika mile powitałam, bo zdaje mi się, że pozyskam w tobie stałą korespondentkę, nieprawdaz? Co zaś do twoich prób literackich, możesz je nam przysłać do o ceny.

Czy kiedy arytmogryf Czarnuszki i Bielaska będzie drukowany, powiedzieć nie mogę, bo dział szarad i łamigłówek nie ode mnie zależy. Prześlijcie więcej łamigłówek, jeżeli nie jedna to druga do druku nadawać się będzie.

Śnieżycy i Jurasiowi za pamięć dziękuję i za przyjemność jaką mi robi Śnieżycza miłymi liścikami. Bardzo żałowałam, że influenza narobiła wam tyle przykrości, dzięki Bogu, że już przeszła szczęśliwie, ale szanować się po niej trzeba. Polecenie spełniłam.

Trudno mi zadość uczynić żądaniu Lewkonii i Switezianki z nad Switezi i wymienić tytuły odpowiednich książek, gdyż jest ich bardzo wiele, więc nie starczyłoby miejsca w naszej „skrzynce.” Sądzę, że najlepiej zrobię, jeżeli wam poradzę przejrzeć ostatnie numera Wieczorów z r. 1898 i 1899, są tam wzmianki o nowych książkach dla młodzieży. Można też żądać katalogu, którejkolwiek księgarni, w czem chętnie mogłabym pośredniczyć.

I ja bym się nie gniewała Szarotko, żeby „Wieczory” pojawiały się chociaż dwa razy na tydzień, może miałabym wtedy więcej miejsca na moje gawędy i dłuższe dawałabym odpowiedzi. Ale kto wie, czyby wam się ta moja pisanina nie znudziła w końcu, gdyby jej było zawiele. Lepiej więc pozostać przy starym porządku!

Witam cię Kalino, z nadzieją, że zechcesz przemienić ceremonialną nazwę „Pani” na „Jaskółkę” i zawrzeć ze mną bliższą znajomość; zdaje mi się, że mnie pierwsze wrażenie z twego listu nie zawiedzie i że trwałą zawiążemy korespondencję odtąd, co od ciebie zależeć będzie.

Żądane książeczki dla Kazi B. i Manuchy K. posłano. Za pocztowe słówka dziękuję, wdzięczną wam jestem za pamięć.

Łamigłówka Słowika z nad Wisły, jak mnie objaśniono, pomieszczoną nie będzie, bo już podobna była drukowaną.

Miło mi, że Zosi K. podobała się moja pogadanka o żywych obrazach i że zachęciła ją do urzędzenia szarad w obrazach. Nie wątpię, że Staś umiejętnie ci w tem dopomoże. A pamiętaj, opisz mi wszystko szczegółowo.

Mary L. Podzielim twoje zmartwienie z odjazdu p. Ludwika Ż., wiem jak serdecznie byłaś do niej przywiązana, a i ona odpłacała ci się szczerem uczuciem. Będziemy ci wdzięczni, gdy nam przyslesz obecny adres p. Ż., który jest nam bardzo potrzebny. Polecam się i nadal twęj pamięci, nie zapominaj o przyjaźni ci całym sercem

Jaskółka

Nowe książki nadesłane do Redakcyi:

Samy sobie. Książka zbiorowa na korzyść kasy literackiej; zawiera krótkie utwory i poezje wybitniejszych autorów współczesnych z Henrykiem Sienkiewiczem na czele. Wiele ilustracyi. Cena 1 r. 50 kop. w ozd. opr. 2 r. 25 kop.

Historja powszechna p. Henryka Wernica. III Czasy nowożytnej; zwięzły podręcznik dla uczących się, zaopatrzony pytaniami.

Gry i zabawy towarzyskie dla młodzieży poci obojga opracował M. Rościszewski, z wielu rysunkami.